

Nad strzechami rodzinnych domów unosiła się łuna ognia i ciemny, gęsty dym. Cokolwiek było powodem pożaru, nasi pobratymcy byli w niebezpieczeństwie. Piast wiosłował jak opętany. Pomimo jego nadludzkich wysiłków łódź musiała jednak pokonać silny, przeciwny prąd rzeki. Z kolejnymi uderzeniami serca czułem w ustach coraz paskudniejszy i coraz bardziej gorzki smak traconej nadziei. Choć palisada osady zbliżała się z każdą pokonaną falą, nie uspokajało mnie to ani trochę. Mogliśmy już wszak rozróżnić, które budynki trawi pożar.

Woda zaczęła nieść wrzaski, szczęk metalu o metal i inne odgłosy walki. A zatem nie był to zwykły pożar, ktoś próbował przemocą zdobyć naszą osadę. Spojrzałem na Piastę i zobaczyłem, jak jego wargi zaciskają się jeszcze mocniej niż zwykle. Podobnie jak ja wiedział, że może być za późno na jakąkolwiek pomoc. Zaczął wiosłować jeszcze mocniej.

Po czasie wydającym się wiecznością nasza rozpedzona łódź wbiła się głęboko w piasek małej plaży. Chwytając toporki, wyskoczyliśmy na brzeg i pośpieszyliśmy do znajdującej się nieopodal bramy. Biegąc wzdłuż drewnianej palisady, nie dostrzegliśmy nikogo, kto broniłby osady od strony wody. Jednak wrzaski kobiet, krzyki mężczyzn i nieustanne ujadanie psów dobiegające ze środka stanowiły wystarczającą zapowiedź tego, co działo się wewnątrz ogrodzenia.

Piast dobiegł do bramy pierwszy. Była uchylona, więc zanim do niego dotarłem, zdążył rozewrzeć ją szerzej. Naszym oczom ukazał się przerażający widok. Środkowa część osady, zamieszkała przez najbogatszych gospodarzy, stała w płomieniach. Drewniana, ciasna zabudowa łatwo uległa niszczycielskiej sile ognia, który zaczynał już trawić kolejne kwartały. Pomiędzy domostwami leżało na piaszczystych uliczkach wielu zakrwawionych mężów – naszych sąsiadów. Niektórzy padli z toporkami czy kijami w rękach, innych zaszlachtowano niczym bydło.

Kilkudziesięciu ciężkozbrojnych wojów kontynuowało dzieło zniszczenia. Niektórzy za pomocą pochodni podpalali nienaruszone jeszcze strzechy, inni bili lub siłą wyciągali z chat kobiety. Każdy z nich prezentował się niezwykle groźnie w metalowym hełmie i koszulce kolczej, okrywającej tors splotem małych stalowych kółeczek. Po jakości ich włócznie, toporów i długich noży znać było, że nie należeli do przypadkowych rębaczy. Większa grupa napastników zbierała ocalałych mieszkańców grodu na pustym wewnętrznym placu. Skuleni mężczyźni i kobiety cierpieli pod razami zadawanymi ciężkimi kijami lub trzonkami włócznie.

Kilka kroków od nas, nieopodal bramy, pod jedną z chat dwójka najeźdźców szarpała się z żoną Bytomira, której na wpół rozerwana suknia jasno sygnalizowała intencje napastników. Jej mąż leżał tuż obok na ziemi, w powiększającej się coraz bardziej czerwonej kałuży. Dwaj wojowie rechotali szyderczo, wykręcając kobiecie ręce.

Pomimo braku jakiegokolwiek doświadczenia wojennego obydwaj wiedzieliśmy, że nie mamy szans w walce z uzbrojonymi po zęby i opancerzonymi rębajłami. Spojrzeliśmy jednak po sobie, skinęliśmy jednocześnie i ruszyliśmy z bojowym wrzaskiem na napastników.

Zdziwieni wojownicy porzucili niewiastę i odwrócili się w naszym kierunku. Piast pobiegł na wyższego z nich, posługującego się dwuręcznym toporem. Wymierzył cięcie, próbując wrazić ostrą krawędź w niechronioną kolczugą przedramię przeciwnika. Ten jednak zastawił się toporem, trzymając go oburącz, i sparował cios na drewniany trzonek. Nie zmieniając chwytu obu dłoni, wykręcił stopy i nadając rotacji reszcie ciała, zamachnął się. Piast dostrzegł manewr zbyt późno i został trafiony spodem rękojeści tuż nad krawędzią tarczy.

Nieszczęśliwie się złożyło, że trzonek uderzył go prosto w skroń. Zaskoczony, nie zdążył nawet osłabić siły ciosu ruchem głowy lub unikiem. Zatoczył się i przewrócił o własne nogi. Tarcza i topór wypadły mu z bezwładnych dłoni przy zetknięciu z ziemią.

Fragment rozdziału 2